

Uważam, że to frajerskie, tak się odkrywać. Ale nie mogę się powstrzymać. Wciąż o tym myślę, męczy mnie i już nie dam rady dłużej trzymać tego w sobie. Tak jak nie można powstrzymać potu w czasie wysiłku. Muszę w końcu o tym komuś powiedzieć, zrobić coś. Nigdy wcześniej nie mówiłem o uczuciach. Takie rzeczy się ukrywa, wydają się słabe, nie przystoją takim typom jak ja. My jesteśmy twardzi, idziemy ponaparzać w worek, kiedy nam źle, albo nachlać się gorzały. Bronimy się gniewem i lejemy w mordę. Na pewno nie żalimy się, ani nie snujemy jakieś smutne gówna. A ja już nie mogę chlać, w końcu zamienię się w jakiegoś nura, czy coś. Zresztą, trenowanie i chłanie nie idą w parze.

No więc chodzi o to, że jestem sam.

Myśleliście, że to będzie coś innego? Złamane serce, żałoba czy jakiś wstydlivy odpał, który trzeba leczyć w wariatkowie? Męczy mnie samotność i tyle. Ale męczy tak, że nie wiem już, co z sobą zrobić. Prawdziwej rodziny nie mam. Rodzice nie żyją, rodzeństwa brak, a dalsza rodzina to jak nie rodzina. Myślą o mnie nie wiadomo co, więc mam ich gdzieś, nie zasługują, żeby próbować zmieniać im myślenie.

Kobiety też nie mam. Nie na stałe. Te lafiryndy, z którymi mam do czynienia, nie nadają się do założenia rodziny. Raczej do skomplikowania sobie życia.

Mam kumpli, z którymi trenuję, pierzemy się po mordach na sparingach, macamy na macie, pijemy, oglądamy walki i mecze, ale to nie to samo. Ci durnie w ogóle nie przypominają rodziny. Wiem, że niektórzy tak mówią, że kumple to rodzina, nigdy nie opuszczają, zawsze pomogą i takie tam. Po części tak jest. Wiem, że mogę na nich liczyć, a oni na mnie. Ale kumple w dupie mają smutek, żal i inne uczucia. Każdy trzyma to dla siebie, przeżywa w samotności, po cichu, nie pokaże drugiemu. No bo jak? Jak baba? Jakaś ciota? No co wy, nie ma szans.

Mam to już w dupie. I niech się śmieją. I tak nikt nie zaśmieje mi się w twarz, bo wie, że zęby są drogie i z lekkością baletnicy mogę narazić na koszty.

A może któryś też będzie miał już dość duszenia czegoś w sobie i zapłaczę?

Samotność dziwnie ze mnie wyłazi. Oprócz typowych objawów: smutnej mordy, tęsk-

nego wzroku, milczenia i ciągłot do pościelowej muzy. Wciąż widzę siebie na bezludnej plaży. Nie wiem, co to znaczy. Przez to czuję się jeszcze bardziej samotny. Ale wiem, że jestem tam właśnie z powodu samotności. Może obrazuje moje gówniane położenie, że jestem na nią skazany? Pewnie przez wygląd. Mordę mam niewyjściową. Kinol przedstawiony kilka razy, kalafiory na uszach od zapasów, szyja już tak umięśniona, że wydaje się, jakbym jej nie miał. Wyglądam jak jakiś gargulec. Tylko pustogłowe, plastikowe lale do mnie lgną. Jarają się mięchem, moim stylem życia, sianem i same sobą. Widać dobrze pasują wizualnie do plastiku.

Tydzień temu pogoniłem ostatnią, ale pojawiają się nowe. Jak ćmy wokół żarówki po zmroku. Jakby wylaziły z jakiejś fabryki tworzywa sztucznego. Wiem, że to przez miejsca, w których bywam. I jeśli nie zmienię sposobu bycia i postrzegania mnie przez innych, to skazany będę na plastik albo jakąś niewidomą laskę. Tylko że jeszcze musiałyby polubić moje wnętrze, a raczej nie należą do wrażliwych.

No więc leżę brzegiem wąskiej plaży. Jest naprawdę piękna. Słońce świeci, ale nie tak, żeby pot leciał po dupie. Przyjemnie, ani za mocno, ani za słabo. Ściana zieleni pochyla się nad plażą. Słyszeć ptaki i fale, jest cudownie cicho. Tylko się położyć i zasnąć w błogiej ciszy.

Najlepsze jest to, że nikogo nie ma, a mam nadzieję spotkać miłość mojego życia. Jedyną, najwspanialszą, najpiękniejszą kobietę, o której marzę, że noszę na rękach, opiekuję się i gapię jak w obrazek. Czysty, nastoletni ośli zachwyty. Wciąż wypatruję, jakby miała pojawić się za najbliższym cyplem albo wyskoczyć z krzaków.

Debil, no nie?

Jak miałbym spotkać kogokolwiek na plaży, która wydaje się tak dzika, że chyba na palcach obu rąk można by policzyć, ile razy ktoś na niej był? A co dopiero natknąć się na samotną, piękną kobietę. I jeszcze miałoby jej serce zakołatać w piersi na mój widok i oboje byśmy czuli, że właśnie się odnaleźliśmy.

Wgrało mi się w baniak jakieś nastoletnie marzenie i tyle. Najwidoczniej jakiś niedopieszczony jestem.

Nie mogę przestać myśleć o tej plaży. Wciąż na niej ląduję. I to nie tylko we śnie, ale kiedy jadę samochodem albo w przerwach na treningu. Stoję, dyszę sobie i łapię zawiechę. Wytrzeszczonymi gałami patrzę w przestrzeń i czuję zapach morskiej wody, a chłopaki się śmieją. Teraz na przykład siedzę przy biurku na bosaka, myślę o plaży i czuję

piasek pod nogami. Widzę siebie, jak stoję na brzegu i patrzę na zachód słońca, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem, idealnie podkreślony horyzontem. Czuję przy tym taką mega nostalgię, jakbym dobrze wiedział, za czym tęsknię, a mój czas właśnie mijał, jakbym miał ostatnią szansę, żeby znaleźć się na plaży. Mam już w sumie swoje lata.

Od kilku dni jej szukam. Nie mam nic do stracenia. A może mam? Sam nie wiem, przecież wygląda na to, że mnie oprogramowanie we łbie zawodzi.

No więc nie jest to żaden tropik, drzewa to głównie brzozy, no i jakoś czuję, że to u nas, ale zbadałem już całą morską linię brzegową kraju i nie znalazłem takiej plaży. Wniosek jest jeden, ona nie istnieje, a ja jestem idiotą.

Gapię się w ekran, drapię po łysym łbie i móżdżę. Co mogę jeszcze zrobić?

Kawy sobie zaparzyć.

Jestem! Prawie narozlewałem po drodze z kuchni. Zalewałem kawę i wpadłem na pomysł, gdzie jeszcze mogę szukać plaży spełniającej kryteria z głowy. Tego rzecz jasna nie zdradzę, bo jeśli istnieje, szybko przestałaby być dzika i odludna, a tego bym nie chciał.

Siorbię wrzątek i szukam. Aż znajduję! Przynajmniej na zdjęciach satelitarnych w Google wygląda jak w głowie. Ponad sto dwadzieścia kilometrów stąd. Całkiem niedaleko.

Patrzę na zegarek, dziesiąta. Nie ma na co czekać. Za maks dwie godziny tam jestem. Dopijam kawę, zaliczam kibel, bo zawsze mnie goni po kawie, szamuję coś na szybko, zakładam krótkie spodenki, japonki i dzida.

Mam wrażenie, że przyciąga mnie jakiś wielki magnes. Im bliżej tego miejsca, tym bardziej jestem podjarany i czuję spokój, jakbym wracał do domu, gdzie się urodziłem. Dziwne to. W końcu wjeżdżam do małego miasteczka. Wygląda jak wymarłe. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Podobne do tego, gdzie wjeżdża Pawlak w „Samych Swoich”, żeby poszukać doktora do rodzącej Mani. Dopiero skończyła się wojna i nie widać żywej duszy. Ale tutaj na pewno ktoś mieszka. W oknach widać kwiaty, za jednym suszy się pranie. No i przy kilku tkwią talerze satelitarne. Ale i tak mam wrażenie, że to inny świat. Przepaść między tym a moim. A przecież nie jest tak daleko.

Dojeżdżam do końca miejscowości, przede mną woda. Skręcam w prawo i po jakichś

dwóch kilometrach wjeżdżam w las tak gęsty, że zrobiło się ciemno. Cały czas patrzę na mapę w telefonie. Jeszcze kilka kilometrów i powinienem być na miejscu.

Zatrzymuję się na leśnej polanie, wysiadam i oddycham głęboko. Powietrze jest czyste i smakuje świetnie, aż kręci się w głowie. Jest niesamowicie cicho. Słyszeć wiatr, ptaki i wodę. Nic więcej. Żadnego samochodu, samolotu, pociągu, żadnego ludzkiego głosu, nawet szczekania psa. Zero cywilizacji.

Plaża jest na dole, zaraz za pasem lasu oddzielonym od reszty drogą, którą przyjechałem. Schodzę ścieżką, wydeptaną raczej przez zwierzęta niż ludzi. Jest jak zielony tunel, wydaje się prowadzić do innego świata. Na końcu otwiera się na słoneczną krainę, gdzie woda skrzy się milionem refleksów.

Staję na piasku i zamieram, przeszywa mnie dreszcz. To tutaj. To dokładnie miejsce z moich wyobrażeń, nawet piękniejsze. Widzę w oddali łabędzie, a nad głową przelatuje jakiś drapieżny ptak. Za mały na jastrzębia, ale i tak wygląda kozacko. Znika za drzewami. Niektóre brzozy prawie leżą na piasku, podmyte przez wodę. Najwidoczniej wąska plaża przestaje istnieć w czasie sztormu, a woda atakuje zieleni.

Napełniam płuca po brzegi i ogarnia mnie spokój tak wielki, że aż nierzeczywisty. Jakby ciepły wiatr zdmuchnął z czaszki wszystkie troski i zostawił tylko tęsknotę do prawdziwej miłości.

Czas jej poszukać.

Śmieję się z siebie i zdejmuję klapki, ruszam. Pochylone drzewa dają przyjemny cień, a podmyte korzenie wyglądają świetnie, jak z jakiegoś fantastycznego świata. Morda się cieszy. Dobrze, że przyjechałem, warto było, dla samej radości, widoków i łyka świeżego powietrza.

Przechodzę przez niewielki cypel i widzę małą zatoczkę, zacienioną potężną markizą z liści, pełną okrągłych kamieni i powalonych drzew. Jest i strumień.

Na chwilę znowu robi mi się słabo, jakby piękno chciało mnie powalić. Tak tu odmienne od miejskiej rzeczywistości. Tak inaczej od środowiska, w którym się poruszam. Siadam na grubej kłodzie i daję się kołysać kojącym szmerem. W końcu kładę się na wznak i zasypiam.

Spałem jak niemowlę ponad dwie godziny. I spałbym dłużej, gdybym się nie spieprzył z kłody, zachciało mi się przewrócić na bok. Śmieję się z siebie i sadzam dupsko z powrotem. Przeciągam, a w brzuchu tarabani perkusja, jestem już konkretnie głodny. Nic z

sobą nie wziąłem, mogłem o tym pomyśleć. Nie chcę jeszcze jechać. Dziś sobota, nie mam treningu, mogę zostać do wieczora, na zachód słońca, na finał. Może w miasteczku jest jakiś sklep. Kupię żarcie, wrócę i rozpalę ognisko. To będzie coś. Cieszę się na ten pomysł jak dzieciak, który ma dostać tablet.

Wstaję i zauważam kwiat na kłodzie, fioletowy, leży sobie. Rozglądam się. Ktoś musiał położyć, sam nie przyfrunął, nie spadł przecież z drzewa. Może jakiś ptak?

A może jesteś stuknięty, co?

Macam się po kieszeniach, czy przypadkiem ktoś mnie nie okradł. Idę do samochodu i jadę po żarcie. Na bosaka, klapki mam już gdzieś.

Miasteczko nie jest wymarłe. Widziałem kilka osób i znalazłem sklep. Śmierdzi jak w kurniku, ale co trzeba, kupuję. Zauważam małą siekierę, świetnie się przyda. Dobrze, że mam gotówkę, kartą bym nie zapłacił.

Wracam z siekierą i siatką żarcia na plażę, na moją kłodę. Kwiatek leży jak leżał. Już głowa układa do niego historię. Śmiać mi się chce z siebie. Zjadam banana, twaróg i bułkę. Do picia mam wodę. Mięso upiekę później, jak rozpalę ogień. Kupiłem pierś z kurczaka, kielbachę, musztardę i butelkę wina. Kubki plastikowe, łyżkę i nóż wożę w samochodzie, otwieracza do wina nie potrzebuję, potrafię odkorkować sposobem.

Ależ petarda się czuję. Wszystko odeszło, cały codzienny syf. Nalewam wina do kubka i rozsiadam się wygodnie na piasku, opieram plecami o kłodę. Wypiję tylko trochę, do wieczora alkohol wyparuje. Odpalam książkę w telefonie i czytam. Jest świetnie, lepiej być nie może. Nie brakuje niczego. Na miłość poczekam, pewnie pojawi się lada chwila. Kto, jak nie ona położyła kwiatek?

Czas płynie błogo. Następnym razem wezmę namiot i zostanę na dłużej. Wyobrażam sobie, jak musi wyglądać niebo nocą, kiedy w pobliżu nie ma żadnego miasta, odbierającego swoim światłem chwałę gwiazdom. Ta umierająca mieścinka świeci pewnie w nocy jak stara latarka na zdychających bateriach.

Czytam i cały czas mam wrażenie, że jestem obserwowany. Może przez ptaki albo większe zwierzęta, ale przecież wzrok zwierząt nie wywołuje takiego wrażenia. Musi być świadomy, ludzki. Czasami słyszę szelest w krzaczorach za mną, ale to może być cokolwiek. Wkręcam sobie, jak miłość. Kwiatka naprawdę mógł zostawić jakiś ptaszek.

Czas przestać zachowywać się jak nastolatka.

Ciekawe, czy tak samo będę myślał, jak stąd pojadę. Pewnie znowu włączy się męcząca

tęsknota.

Wypiłem pół butelki i koniec tego dobrego. Wyłączam też telefon. Czytanie na ekranie męczy oczy. Do zachodu słońca zostały dwie godziny, czas ruszyć dupsko i nazbierać drewna. Pełno tu powalonych drzew. Woda podmywa korzenie tak długo, aż nie mają się czego trzymać i padają jak zmęczeni żołnierze na twarz. Pochylone brzozy będą następne. Możliwe, że niektóre zabierze z sobą woda, a inne zostaną zepchnięte i splotą się jak te suche, poskręcane w pośmiertnych uściskach. Kilka brutalnie rozdzielę, idealnie nadają się na opał.

Będę wracał brudny, ale mam to gdzieś. Latam po plaży raz w jedną, raz w drugą stronę i wyszarpuję powalone drzewka. Czuję się wspaniale, jak dzikus na swoim nietypowym gospodarstwie. Na samą myśl, że miałbym założyć buty, puchną mi nogi. Sam się sobie dziwię, jak mogę wytrzymywać w butach całymi dniami.

Kiedy ściągam całe drewno pod kłodę, jestem porządnie zziązany. Nazbierałem chyba na całą noc. Biegnę jeszcze do samochodu po zapalniczkę i ręcznik papierowy na rozpałkę.

Ogień się pali, dym pachnie wspaniale i przepędza owady. Rąbię dziarsko drzewka na krótkie kawałki, aż robi mi się bąbel na dłoni. Jest świetnie. Dawno nie czułem się tak dobrze. Jestem w pięknym miejscu, które koi ducha, nie ma zmartwień i problemów, trzeba tylko zadbać o podstawy, ogień i żarcie. Cudownie prosty kawałek życia. Niechby trwał jak najdłużej.

Spocilem się jak świnia. Czemu by się nie wykąpać? Wbiegam na golasa do chłodnej wody. Ależ orzeźwia. Wypływam kawałek od brzegu i kładę się na plecach. Pachnie świeżością i gdyby można było, z chęcią dałbym się ululać falom do snu.

Plaża wygląda z wody rewelacyjnie. Myślę już o niej jak o swoim domu, jakbym był z nią związany krwią, urodził się tutaj. I jestem pewien, że to nie chwilowe uczucie. Sam nie wiem dlaczego. Niektórzy nie lubią być przywiązani do jednego miejsca, a ja wręcz przeciwnie.

Robię kilka długości wzdłuż brzegu i wychodzę błogo zmęczony. Świetnie, że mogę sobie wyschnąć na stojąco z dyndającą fujarą i nikt mnie nie widzi.

Ale coś się zerwało w krzaczorach i ucieka. Słysząc szelest. To coś większego, jak dzik

czy sarna, sam nie wiem, nic nie widzę. Podchodzę do siekiery, w razie czego będę walczył. Już widzę siebie, jak na golasa walę w łeb siekierą wielką maciorę albo walczę w parterze. Ale sobie poszła. Może zrobię dzidę i przepaskę z trawy?

Ubieram się, dorzucam do ognia i siadam. Zabieram się za ostrzenie kija i widzę w oddali idącą w moją stronę kobietę.

Gdybym żuł gumę, wypadłaby mi teraz z otwartego ryja.

To ona?

Śmieję się z siebie. Jaka znowu ona, durniu ty. Przecież to nie prywatna plaża, a do miasteczka nie jest tak znowu daleko. Tych parę kilometrów można przejść spacerkiem. Mogła też przyjechać samochodem, jak ja. Gdyby przyszła chwilę temu zobaczyłaby moje blade dupsko wystawione do słońca.

Poza tym im bardziej się zbliża, tym pewniejszy jestem, że to nie ona. Ubrana w zwiewną, letnią sukienkę w kwiaty. Figura taka sobie, dupa przyduża, a buzia raczej nieładna, kiedy jest blisko, widzę już dobrze, że wręcz brzydka. Wielki nos, usta jakieś przekrzywione w lewo, oczy rozjechane, a poliki pucułowate. I zero makijażu. Tylko włosy ma ładne, długie, prawie czarne.

Nic z tego nie będzie, myślę i znowu się śmieję, jakim jestem kretyńcem, że w ogóle to rozważam.

Ciekawe, dlaczego do mnie lezie? Chyba, że przejdzie obok.

– Dobry wieczór panu.

– Dobry wieczór pani.

– Miło zobaczyć uśmiech na takim odludziu.

– Pięknie tu. Cały dzień gęba mi się cieszy.

– Wiem, obserwowałam pana.

O kurde. Właśnie przestałem się uśmiechać. Widziała mnie na golasa? To ona była tym dzikiem?

– Jak to? – pytam.

Nie odpowiada, wypala z czymś innym.

– Czy mogę się przysiąc? Wieczór robi się chłodny. Ale jeśli woli pan samotność, proszę się nie krępować i powiedzieć. W końcu pewnie nie bez powodu jest pan tu sam.

– Proszę – pokazuję na miejsce obok ogniska.

– Dziękuję.

Kobieta siada. Zaciekawiała mnie. Skąd ona się urwała? Może to wariatka? Na pewno jest jakaś dziwna. Nie boi się mojej mordy? I nie mówi, dlaczego mnie obserwowała. Zaraz zapytam. Mam nadzieję, że wcześniej sama powie. Jak się okaże, że to wariatka i zacznie mnie wkurzać, to ją wystraszę i ucieknę. Przytrzymuje sukienkę, żeby fruwać na wietrze nie odsłaniała zbyt wiele. Włosy targa wiatr. Gdyby nie ta twarz, byłaby całkiem niezła. Wciąż nic nie mówi. I dobrze, klimat nie bardzo sprzyja rozmowie. Najwyżej dobrym manierom.

– Ma pani na coś ochotę? Wina, coś do jedzenia?

– Chętnie.

Czyli najpierw wino, a potem żarcie.

– Zabrałem z samochodu tylko jeden kubek. Skoczę po drugi.

– Nie szkodzi, proszę zostać, wygląda pan bardzo zdrowo. – Puszczą do mnie oczko.

No i jestem już pewien, że widziała mnie na golasa. Nalewam wina i podaję kubek.

– Jak mnie pani obserwowała?

– Oczami swoimi, proszę pana.

Hehehe, niezła.

– Ładnie to tak siedzieć w krzakach i podglądać? – pytam.

– Kiedy wyszedł pan z wody, nie patrzyłam, odwróciłam się i odeszłam, żeby mnie nie korciło. – Znowu puszcza oczko.

Już ci uwierzę. Chociaż w sumie zaszeleściło w krzakach.

– Ten kwiatek to od pani?

– To Śláz. Byłam ciekawa, co pan z nim robi.

Śluz?

– A co miałem zrobić?

– O mężczyźnie wiele mówi to, jak obchodzi się z kwiatami, kiedy wpadną mu w ręce.

Nie wiem, jak to skomentować. Rozumiem, że gdybym zgniótł, wrzucił do ognia, to oblałbym jakiś test? Tylko po co ten test? Już wiem, żeby wbić się na darmową wyżerkę.

– Nie znam się na kwiatach – mówię.

– Nie szkodzi.

Wstaję, kobieta od razu odwraca głowę i mnie obserwuje. Jest czujna. Odchodzę kawałek dalej, żeby znaleźć drugi kij dla niej. Znajduję, wracam i siadam, żeby naostrzyć, a ona wraca do obserwowania horyzontu. Mimo że nieurodziwa, wygląda w tej scenerii ładnie. Pewnie nawet ja wyglądam lepiej.

Sam też patrzę w przestrzeń. Niesamowicie przyciąga wzrok. Nabiera kolorów, słońce szykuje się powoli do zachodu. A ognisko jeszcze podkreśla klimat.

– Jak pani na imię?

– Nie powiem panu. Pan też niech jeszcze nie mówi.

– Dlaczego?

– To wiele zmieni. Staniemy się dla siebie bardziej konkretni, rzeczywisci. Już teraz buduje pan sobie w głowie jakiś obraz mnie, niestety. Imię tylko by w tym pomogło. A teraz możemy nazywać się jakkolwiek. Taka sytuacja nigdy więcej się nie powtórzy.

– W sumie racja. A pani nie budowała sobie obrazu mnie, kiedy podglądała?

– Nam, kobietom, wolno. To zgodne z naszą naturą.

– No przecież – uśmiecham się.

Cwaniara. Fajnie gada. Żadna kobieta, którą znam, nie mówi w taki sposób. Tamte tylko pieprzą, prostytutki, o kompletnych bzdetach, żadna nie czyta książek. Już widzę, jak zabieram tutaj Żanetkę, tę anorektyczkę, którą pogoniłem ostatnio. Już słyszę, jak gwiazduje, że pełno robali, wiatr rozwała fryzurę, i że nie usiądzie na piasku, i w ogóle jak śmiem coś takiego proponować księżniczce, przecież połamię sobie pazury, zniszczy cerę czy jakieś inne badziewie.

A ta na pewno czyta, mogę się założyć. I niewiele gada. Gdyby nie zakrywała się sukienką, zerknąłbym, czy to na pewno baba. Ma cycki, więc raczej na pewno.

I nie wydaje się już taka brzydka.

– Życzy pani sobie pierś z kurczaka czy kielbasę?

– Kielbasę.

– A może najpierw pierś, a potem kielbasę? Ja tak zrobię, polecam.

– Więc poproszę tak samo, ale w mniejszych porcjach oczywiście.

– Się robi.

Myję mięso, nadziewam porcje i posypuję lekko przyprawą. Wbijam kije w piach i pochylam nad żar. Zerkam, czy pani ma jeszcze wino w kubku i siadam na swoim miejscu.

– Teraz musimy tylko czekać – mówię.

– Na spektakl. Kolacja przy zachodzie słońca. O tym nie śniłam.

– Na ten finał dnia właśnie czekam. Spektakl, ładnie powiedziane.

– Trudno o większe piękno.

Uśmiecham się, ciężko się nie zgodzić.

– W blasku tego spektaklu wszystko wydaje się piękniejsze – mówię.

– O tak, pan też to widzi? – Odwraca głowę i patrzy na mnie.

– Jak można nie widzieć.

– A jednak wielu ludzi tego nie zauważa, nie chce wręcz. Słońce już zaczyna zmieniać kolor wszystkiego, pan też się zmienia.

Nie wiem, o czym gadamy, ale niesamowicie podoba mi się ta rozmowa. Kiedy patrzę jak mówi, wydaje się coraz ładniejsza. Jakby słowa płynące z jej ust były kosmetykami, a ona robi sobie nimi makijaż. Najpierw piękne stają się usta. Fajny ma głos, delikatny i bardzo kobiecy.

I to nie przez wino zaczyna mi się podobać. Mam mocną głowę i wcale nie czuję, że

wypiłem.

Słońce szykuje się do zachodu, niebo zaczyna płonąć. Plaża i my robimy się pomarańczowi.

– Jeszcze wina? – pytam.

– Poproszę.

Dolewam. Jestem ciekaw, kim ona jest, skąd pochodzi, czy mieszka w okolicy? I o czym myśli.

– Pan już nie pije. Nie planuje pan zostać na noc?

– Planowałem się zbierać po zachodzie.

– Noc tutaj musi być piękna. – Patrzy w niebo.

– Na pewno. Pani chciałaby zostać?

– Sama bym się bała.

Mam ochotę zapytać, czy nie bałaby się zostać z nieznajomym. Przecież mogę być jakimś psychopata.

– Z panem bym się nie bała – wypala.

– Przecież mnie pani nie zna.

– Trochę już znam. Mam nosa. Pan ma dobre serce. I dobrze panu z oczu patrzy.

Jej oczy stają się niesamowite. Od patrzenia na horyzont, na niebo? Absorbują piękno otoczenia, czy były takie cały czas, ale tego nie dostrzegałem?

– I miałam chwilę, żeby się panu przyjrzeć. Ktoś, kto tak reaguje na piękno, nie może być zły.

Najwidoczniej z zachwytu robiłem jakieś durne miny. Albo przez sen.

– Pani nie jest stąd?

– Jestem tu pierwszy raz.

No proszę.

– To tak jak ja.

Przynajmniej fizycznie. W wyobraźni i w snach byłem setki razy.

Kobieta nie odrywa wzroku od słońca, które zaraz dotknie horyzontu, ale już od dłuższej chwili dotyka jej buzi. Sprawia, że nos, owal twarzy, ramiona, cała postać wydają się tym, za czym tak tęskniłem. Jakbym był mały i patrzył na mamę, która była całym światem, bezpieczeństwem, domem.

Pewnie zwyczajnie posrało mi się we łbie z tej tęsknoty.

– Jak to się stało, że pani tu jest?

– Przyjechałam samochodem – śmieje się ze mnie.

Dobra jest. Uśmiecham się i czekam. Dobrze wie, o co pytałem. Słońce prawie całe spadło za horyzont. Za chwilę pojawią się pierwsze gwiazdy, a zmysłowy taniec płomieni nabierze znaczenia i one przyciągną nasz wzrok.

Dorzucam drewna do ognia, a kobieta przysuwa się bliżej i zaczyna mówić.

– Od jakiegoś czasu myślę tylko o tej plaży. Wyobrażałam sobie, że idę brzegiem, a wiatr rozwiewa moje włosy. Nie ma pracy, codzienności, jest tylko to miejsce. Wiem, jak to zabrzmi, ale marzyłam o nim. I jest cudnie.

Wciąż patrzy przed siebie. Gasnące niebo jeszcze płonie. A ja patrzę na nią i nie mogę uwierzyć w to, co słyszę.

– W końcu nie mogłam już wytrzymać, dusiłam się i musiałam odszukać to miejsce, przyjechać i nabrać powietrza. Czy to nie głupie?

Znowu, gdybym miał w gębie gumę do żucia, właśnie by wypadła.

– A więc to pani...

Kobieta odwraca głowę i patrzy na mnie, jakby dobrze wiedziała, o co chodzi, jakby czekała, aż to powiem.

Na niebie pojawiają się pierwsze gwiazdy, potem kolejne, aż niebo jest nimi usiane jak ulica piachem po przejeździe piaskarki. Dzisiaj już się stąd nie ruszymy.

Mięso jest gotowe. Wyciągam bułki i musztardę.

- Nasz pierwszy wspólny posiłek – mówię.
- Zawsze będzie mnie pan tutaj tak karmił?
- Już zawsze będę panią karmił, nie tylko tutaj.

Jej uśmiech jest tak samo piękny w blasku zachodzącego słońca, jak i ognia. I wiem, że z czasem będzie się stawał jeszcze piękniejszy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

BrunoKadyna, dodano 15.04.2018 12:14

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.